

Podzielić się światem

Z Markiem Kamińskim rozmawia Jarosław Borowiec

JAROSŁAW BOROWIEC: Wydana w ubiegłym roku książka rozmów z Panem nosi tytuł – *Dotykanie świata Marka Kamińskiego*. Czym są dla Pana te słowa dziś, gdy spogląda Pan z perspektywy własnych doświadczeń?

MAREK KAMIŃSKI: Nie potrafię żyć przeszłością, nieustannym rozpamiętywaniem tego, co było, co udało mi się zrobić, ani także przyszłością, zajmując się tylko myśleniem o planach, o tym, co chciałbym przeżyć. Najbardziej żyję tym, co jest tu i teraz.

Ludzie bardzo często myślą o świecie jako o miejscach, które trzeba zaliczyć – jak najwięcej jeździć, przeżywać przygody. *Dotykanie świata* jest dla mnie uczestnictwem w codzienności, poznawaniem tego, co bliskie, co znajduje się na wyciągnięcie ręki, bez potrzeby chwalenia się tym przed innymi, opowiadania o swoich osiągnięciach.

Można na to spojrzeć także od drugiej strony, bo nie tylko my dotykamy świata, ale także on sam nas dotyka, wpływa na naszą świadomość.

Niedawno zakończyłem projekt „Ekspedycja Wisła”, jednym z jego celów było pokazanie tego, że można w sercu Europy płynąć 1000 km i przeżyć przygodę jak na rzekach Syberii czy Alaski. W trakcie tej wyprawy przepływałem przez Oświęcim i myślałem o ludziach, którzy przeżyli obóz – Tadeuszu Borowskim, Władysławie Bartoszewskim, Stefanie Jaraczu – o tym doświadczeniu, które nazaczyło ich życie. To przecież jedno z miejsc naszego świata, które nie może zostać zepchnięte w niepamięć.

Dotykać świata – to znaczy dotykać go takim, jakim jest. Bez wybierania fragmentów, cenzurowania, szukania tylko jego piękniejszych, ciekawszych miejsc, bo przecież są także i te mroczne. Warto o tym pamiętać, bo tylko wtedy świat jest całością.

Pańskie poznawanie świata nie jest jednak zwykłym podróżowaniem – staje się wyprawą, projektem. Czy o tym decydują trudności, które chce się pokonać?

„Liczy się droga, nie cel” – to jest moje hasło, którym lubię się posługiwać. Tak naprawdę jedyna podróż warta największego wysiłku, która ma zarazem najważniejsze znaczenie, to podróż w głąb siebie. Bo na dobrą sprawę świat zewnętrzny, to, co nas otacza, jest tylko pozorem. I żeby dobrze się w świecie odnaleźć, powinniśmy zacząć poznawać go od samych siebie – od swojego przeznaczenia, pokonania własnych słabości, próby odpowiedzi na pytanie, po co żyjemy. To może brzmi górnolotnie, ale kiedy jest w nas świadomość tych pytań, wiele rzeczy łatwiej układa się w całość.

Kiedy Pan to zrozumiał?

Tą chwilą była dla mnie wyprawa z Jaśkiem Melą. To jest moja cezura. Wtedy dotarło do mnie, że to, co ja jako Marek Kamiński zdobędę i osiągnę, gdzie wejdę, ile razy pójdę na biegun, ma mniejsze znaczenie niż to, co daje się innym. Takim drugim momentem jest pojawienie się na świecie moich dzieci. Widzi się wówczas wyraźniej, że człowiek jest częścią większej całości. Nie żyje

tylko po to, żeby zaliczać czy zdobywać świat, ale żeby się nim podzielić.

Sir Edmund Hillary – pierwszy zdobywca Mount Everestu, napisał o waszej wyprawie, że to szaleństwo, ale szaleństwo godne najwyższego szacunku. Czego najbardziej Pan się wtedy obawiał?

Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Spis wszystkich niebezpieczeństw i zagrożeń, które się z tym wiązały, dotarł do nas w pełni już po powrocie. Oczywiście, kiedy spogląda się na to z zewnątrz, to może się wydawać, że była to jedynie realizacja jakiegoś hollywoodzkiego scenariusza filmowego, który miał zakończy się happy endem. Patrząc jednak od wewnątrz, zrozumiałem, że ta wyprawa miała jak najmniejsze szanse, żeby mogła się odbyć. To był jakiś cud, że obaj przeżyliśmy, że wszystko zakończyło się sukcesem.

To nie była chęć rzucenia wyzwania losowi, który dotknął Jaśka. Zaczęło się zwyczajnie – pewnego dnia przyszedł do mnie mój przyjaciel Artur Matys i powiedział, że jest taki trzynastoletni chłopiec, który miał wypadek, poraził go prąd, stracił rękę i nogę, i warto by było coś dla niego zrobić. Konkretnie chodziło o protezę, która kosztuje kilkanaście tysięcy złotych, na którą nie było stać Jaśka rodziny. Zaczęło się od pomysłów – może najwyższy szczyt na Kaszubach, może spłynąć kajakiem Wdą, może wejść na Rysy, a może przejść w poprzek Grenlandię? Skończyło się na myślach o biegunie, który z czasem stawał się coraz bliższy. Uświadomiliśmy sobie, że najlepszą formą pomocy będzie w tym przypadku wyprawa. Jak jednak z niepełnosprawnym chłopcem dotrzeć na bieguna? Czy warto narażać kogoś na niebezpieczeństwo? Zaczęły się rozmowy z lekarzami i długie przygotowania – Jasiek musiał nauczyć się angielskiego, pływać i jeździć na nartach. Przez kolejne miesiące szukaliśmy funduszy, media i sponsorzy wycofali się z pomysłu, nikt nie chciał firmować tego projektu. Po pokonaniu wielu trudności znaleźliśmy się wreszcie na stacji Borneo.

Mieliśmy do przejścia 70 km i zapasy na 10 dni. Trasa nas nie rozpieszczała, trafiliśmy na Oceanie Arktycznym na dryfujący lód. To, co przeszliśmy w ciągu dnia, traciliśmy w nocy podczas snu. Koniec końców – Jasiek został najmłodszym zdobywcą bieguna północnego.

Pierwszą samodzielną podróż z Gdańska do Łodzi odbył Pan w wieku ośmiu lat. W liceum – to był koniec lat 70. – chciał Pan wybrać się i wybrał w dłuższą trasę: rejs frachtowcem do Danii, rok później do Maroka. Odnajduje Pan w sobie czasami tamtego Marka Kamińskiego?

Myślę, że bez tych wszystkich szalonych rzeczy, które robiłem, nie byłbym sobą. Ciągłe wystawiam siebie na próbę. Oczywiście teraz mam inne doświadczenia i przeszłość, ale za każdym razem staram się poszukiwać prawdy. Poszukiwałem jej w latach 70. i poszukuję jej dzisiaj. To nie jest łatwe, bo prawda nie jest atrakcyjna. Prawie zawsze jest trudna do przeżycia. Czasami bardzo wygodnie jest uciekać w inne fragmenty rzeczywistości, wszystko zależy od naszej perspektywy. Czym jest prawda? Myślę o niej jako o czymś prostym – w kategoriach zero – jeden, tak – nie. Dla mnie to zgodność z rzeczywistością i świadectwo.

W młodości regularnie trenowałem karate i uprawiałem wiele dyscyplin sportowych, ale zdarzało się, że paliłem papierosy, piłem piwo, byłem normalnym dorastającym nastolatkiem ze wszystkim problemami tego wieku. Wtedy też wydawało mi się, że życie, które prowadzili Rafał Wojaczek, Edward Stachura, Włodzimierz Wysocki – było jedynym prawdziwym życiem. Dziś widzę, że były to raczej jego pozory, oddawanie się fragmentom rzeczywistości. Myślałem, że tylko w przekraczaniu granic jest jakaś prawda. Dziś myślę, że nieuleganie pozorom jest jednym z wyzwań, z którym musimy się zmierzyć.

Wracając jednak do podróży – dla mnie nigdy nie była ważna geografia, ona pojawiała się na dalszych miejscach.

Także ta geografia jako przedmiot szkolny?

Także. Najbardziej fascynował mnie język polski. Językiem widać więcej niż oczami. Nie zdajemy sobie z tego sprawy. Zastanawiał się pan kiedyś nad słowem „Polska”? Skąd ono się wzięło, co znaczy? Ja dopiero w wieku dwudziestu kilku lat uświadomiłem sobie, że pochodzi od pól, od terenu, który jest płaski. Bardzo często posługujemy się słowami, nie wiedząc, co znaczą, a przecież każde słowo skądś się wzięło, nie jest przypadkowe, ma w sobie zapisaną historię. Mówię o tym dlatego, że dla mnie słowo jest bardzo ważne. Jest pierwszą rzeczywistością, której dotykam. Bieguny i szczyty są znacznie dalej. Myślę, że bez książek nie byłoby moich wypraw.

Byłem dzieckiem, które miało złamaną rękę. Dużo czasu spędziłem w sanatoriach i szpitalach, bez rodziców, w osamotnieniu, i książki wypełniały mi czas. Dużo także przebywałem z ludźmi, którzy byli ode mnie starsi, trochę ze mnie kpili, próbowali mi narzucić swój obraz świata. Książki były więc też ucieczką i stawały się rzeczywistością prawdziwszą od tej, którą widziałem. To był Juliusz Verne – *Tajemnicza wyspa, Pięć tygodni w balonie* i wiele innych książek podróżniczych. To był Adam Bahdaj – *Do przerwy 0:1, Podróż za jeden uśmiech, Smak życia*. Zaczytywałem się także w komiksach, choćby w *Tytusie, Romku i A'Tomku*.

W szkole podstawowej, na koniec trzeciej klasy, dostałem w nagrodę książkę Aliny i Czesława Centkiewiczów *Odarpi, syn Egigwy*. Wielkie wrażenie zrobiła też na mnie ich fabularyzowana biografia poświęcona Roaldowi Amundsenowi *Człowiek, o którego upomniało się morze*, a także *Okrutny biegun*. Ze szkoły zapamiętałem również chwile, kiedy w ramach godzin społecznych wybierałem sobie prace w bibliotece, żeby pomagać w okładaniu książek. Stanowiły dla mnie rodzaj cennego przedmiotu.

Można to różnie postrzegać, ale ważną rzeczą w życiu jest dla mnie podążanie za wewnętrznym głosem. Książki pozwalały mi zawsze wyraźniej go słyszeć.

I co Pan słyszał?

Słyszałem młodego człowieka, który nie chciał iść utartą ścieżką, był trochę wbrew temu, czym żyli wszyscy dookoła. Brałem udział w manifestacjach i rzucałem kamieniami, ale potem zrozumiałem, że wiele rzeczy można robić w życiu inaczej. Stąd też wybór moich studiów. Zdecydowałem się na filozofię.

Jeśli miałbym wybrać moje najważniejsze lektury, które do mnie powracają, to Alberta Camusa *Obcy, Dżuma, Upadek* i Antoine de Saint-Exupéry'ego – *Nocny lot, Ziemia planeta ludzi, Mały Książę* i *Twierdza*.

Kiedy czyta się *Moje bieguny* – Pana dzienniki z wypraw, widać, że bardzo często rozmyśla Pan tam o książkach. Kogo Pan zabrał na biegun?

W pewnym sensie zabrałem wszystkie te lektury, które mnie kształtowały, które stały się częścią mnie, ale również ja stałem się ich częścią. Były to filmy Tarkowskiego i Antonioniego, piosenki Jacka Kaczmarskiego, Jacquesa Brela, Edith Piaf, wiersze Edwarda Stachury. Miałem także z sobą książki J. R. R. Tolkiena, jego *Władcę pierścieni* – wtedy nie był jeszcze tak popularnym autorem. Bardzo spodobały mi się słowa Bilba, gdy wyruszał na swoją pierwszą wielką przygodę w Dalekich Krainach:

A droga wiedzie w przód i w przód/ Skąd się zaczęła, tuż za progiem –/ I znów przede mną mknie gdzieś w dal,/ A ja wciąż za nią – tak jak mogę.../ Skorymi stopy za nią w ślad –/ Aż w szerszą się rozplynie drogę, / Gdzie strumień licznych dróg już wpadł... / A potem dokąd? – rzecz nie moge.

Idąc na biegun powtarzałem sobie również słowa K. I. Gałczyńskiego:

Ile listów, ile rozstań, ciężkich godzin w miastach wielu? I znów upór, żeby powstać i znów iść, i dojść do celu.

Miałem także Pismo Święte, które zabierałem z sobą od lat, od moich pierwszych podróży autostopem. I dotyczy to zarówno moich dalekich wypraw, jak również krót-



Marek Kamiński w drodze na bieguny, 1995. Fot. Archiwum Marka Kamińskiego

kich wyjazdów. Biblia jest najlepszym przelicznikiem, jeśli chodzi o ilość i jakość dobrych słów na gramy. Mam taki zwyczaj, że czytam ją, otwierając na przypadkowych stronach. Gdyby ktoś chciał, żebym wskazał konkretne księgi, to pewnie wybrałbym Ewangelię św. Jana i Księgę Koheleta, ale czy to ma aż takie wielkie znaczenie? Urok tej Księgi polega na tym, że zawsze spotykamy w niej coś nowego i zawsze możemy ją czytać na nowo.

Czy literatura czytana na biegunach ma inny smak?

Na biegunach mogłem z wielu względów pozwolić sobie na piętnastominutową lekturę rano i wieczorem. To smakowało inaczej dlatego, że mogłem później przez cały dzień o tym myśleć. Zwiększa się w nas szacunek do słowa.

Czasami także jakieś nasze zachowania, kiedy je sobie przypominamy, nabierają później symbolicznego wymiaru. Pamiętam taki moment na Antarktydzie – miałem z sobą *Mistrza i Małgorzatę* Michaiła Bułhakowa, książkę, którą czytałem kilka razy, dość

dobrze ją znałem. Pewnej nocy przyśnił mi się Behemot, coś do mnie mówił, ale niewiele z tego zapamiętałem. Rano zakopałem książkę w śniegu, zostawiłem ją w lodzie i nie dlatego, że była zbyt ciężka, ale dlatego, że diabeł wydał mi się za bardzo atrakcyjny, taki superstar. Myślałem wtedy, że za bardzo mi to ciąży.

Za dzienniki z wypraw otrzymał Pan „Bursztynowego Motyla” A. Fiedlera w konkursie na najlepszą podróżniczą książkę roku 1998. Dzienniki były próbą poradzenia sobie z samotnością czy chęcią zatrzymania tamtych chwil?

Powody były dwa. Pierwszym była autoterapia, szansa spojrzenia na siebie z zewnątrz. Czułem się dzięki temu bezpieczniej, myślałem, że kiedyś do nich po latach zajrzę i zobaczę, jaki byłem, jak reagowałem na to, co mi się przydarzyło. Drugim powodem była chęć zapisania, utrwalenia. Doświadczyłem wcześniej na własnej skórze, że słowa są silniejsze od zdjęć i filmów. Pisanie dzienników przydarzało mi się bowiem dużo wcześniej, robiłem to od 1989 r. Przed wyprawą

na bieguny odbyłem wiele wypraw i podróży w różne części świata, a ponieważ ich nie zapisałem, jakby nie istniały.

Dzienniki pisane na biegunach nie powstawały jednak z myślą o ich publikacji. Kiedy moi przyjaciele zaczęli namawiać mnie do ich wydania, postanowiłem te zapiski przeczytać raz jeszcze. Myślałem, że nie będzie to łatwa lektura, że dla czytelnika okażą się czymś nudnym. I muszę przyznać, że się myliłem. Stało się to dla mnie samego poznaniem Marka Kamińskiego, wielu bowiem rzeczy już nie pamiętałem, do kilku zdobyłem potrzebny dystans. Zostało tam wiele autentycznych emocji, niepewność, zwątpienie, radość. Pisałem wtedy bez żadnych ograniczeń, nie musiałem siebie cenzurować.

Wiem, że czasami otrzymuje Pan wiadomość, że Pana książki pozwalają komuś podjąć życiowe decyzje. Jak Pan myśli, z czego to wynika?

Chyba tylko stąd, że nie było w tym żadnego udawania. To był szczerzy zapis chwili, bez pokazywania siebie lepszym niż w rzeczywistości jestem.

Nie mogę nie zadać tego pytania – czego uczą wyprawy?

Wyprawy są dla mnie metaforą. Nigdy mnie nie interesowało napinanie mięśni dla samego ich napinania. Nie mogą sprowadzać się tylko do pokonywania kilometrów. Wiem, że dziś słowo edukacja nie jest słowem modnym. Wielu czasami myśli, że sukces jest tylko kwestią szczęścia, nagrody od losu. Wyprawy potrafią nauczyć wielu rzeczy, chociażby odsłaniając nasze słabości. Mnie zależy na tym, żeby miały wpływ na naszą rzeczywistość. Za pieniądze z wysyłanych przez ludzi w trakcie wyprawy z Jaśkiem Melą esemesów udało się kupić protezy dla ponad sześćdziesięciu osób i zmienić diametralnie ich życie.

Ten wymiar edukacyjny spełnia też fundacja, którą założyłem w 1996 r. Jej głównym celem jest organizowanie pomocy dla wielu niepełnosprawnych dzieci – wsparcia

psychologicznego, zbiorów charytatywnych, warsztatów. Prowadzimy Szkołę Przekraczania Granic oraz programy edukacyjne, które są inspiracją dla młodzieży do poszerzania swoich wiadomości.

A czy ma Pan jakieś własne literackie szlaki?

Mam ich wiele. Z reguły spoglądam na miasta przez pryzmat książek, w których konkretne miasto się pojawiało. Przywołuję bohaterów. Ostatnio myślę, że nie ma lepszego opisu Warszawy jak ten, który pojawia się w *Złym* Leopolda Tyrmanda. Bez tego opisu wiele tych miejsc byłoby dla mnie pustych. Takim literackim szlakiem jest dla mnie Barcelona. Często czytam jakąś książkę, a potem jadę do tych miejsc. To podążanie za słowem jest ważnym elementem mojego życia.

Kilka lat temu pojechałem do Petersburga, mieszkałem także w hotelu, w którym popełnił samobójstwo Siergiej Jesienin. A wszystko ze względu na jego *Pożegnany wiersz*, który miał spisać własną krew:

*Żegnaj, przyjacielu, do widzenia,
Drogi mój, od krwi serdecznej bliższy.
Ta rozłąka w ciemnych przeznaczeniach
Obietnicą połączenia bliższy.*

*Żegnaj bez uścisku dłoni i bez słowa.
Nie martw się, cień smutku z czola przegoń.
W życiu ludzkim – umierać rzecz nie nowa,
A i życie samo – nic nowego.*

(tłum. T. Mongird)

Marek Kamiński – polarnik, podróżnik i przedsiębiorca. Pierwszy i jedyny człowiek na świecie, który zdobył oba bieguny Ziemi w ciągu jednego roku bez pomocy z zewnątrz (23 maja 1995 r. wraz z Wojciechem Moskałem dotarł na biegun północny, a 27 grudnia 1995 r. zdobył samotnie biegun południowy). Studiował filozofię oraz fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Opublikował m.in.: *Moje bieguny. Dzienniki z wypraw 1990-1998* (1998), *Razem na Biegun* (2005), *Dotykanie świata* (2009). Wraz z rodziną mieszka w Sopocie.